



angry
G O D

Gods of Law #1

Autorka bestsellerowego *Devila!*

JULIA BRYLEWSKA



Copyright ©
Julia Brylewska
Wydawnictwo NieZwykłe
Oświęcim 2022
Wszelkie Prawa Zastrzeżone
All rights reserved

Redakcja:
Anna Strączyńska
Korekta:
Agnieszka Nikczyńska-Wojciechowska
Edyta Giersz
Redakcja techniczna:
Mateusz Bartel
Przygotowanie okładki:
Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN: 978-83-8178-781-9

JULIA BRYLEWSKA

ANGRY GOD

GODS OF LAW #1

OŚWIĘCIM 2022

Dla wielbicieli sloni.

Prolog

Violet narysowała słonia w rogu kartki. Był niewielki i w trąbie trzymał balonik na długim sznurku.

– Czy mogłaby pani powtórzyć swoje nazwisko? – Przy jej uchu ponownie odezwał się nieco piskliwy kobiecy głos. Była zmuszona słuchać go od blisko dziesięciu minut tej dłużej się i męczącej rozmowy.

– Violet McMillan – odpowiedziała, mając nadzieję, że w tych słowach nie rozbrzmiało zmęczenie i lekka irytacja, które w tej chwili czuła.

– Violet Macmillan – powtórzył mrukliwie głos po drugiej stronie.

– McMillan.

– Oczywiście.

Przytrzymała telefon ramieniem, unosząc wzrok w tej samej chwili, w której w kuchni pojawiła się jej przyjaciółka. Ubrana w sportowy strój do biegania Esme odłożyła na kuchenną wyspę torbę z zakupami, po czym poprawiła wysoki kucyk. Jej bladą twarz przykrywała cienka warstwa potu, choć tego dnia po raz pierwszy od dwóch tygodni temperatura spadła poniżej zera.

– Przykro mi, panno Macmillan, ale niestety pani nazwisko nie widnieje na liście kandydatów zakwalifikowanych do drugiego etapu rozmów w kancelarii. Mogę dopisać pani kandydaturę w następnym naborze. Odbędzie się w kwietniu.

Czyli za sześć miesięcy, dopowiedziała w myślach, wykrzywiając wargi w grymasie, który nie umknął uwadze Esme.

– Rozumiem. Dziękuję.

Odsunęła komórkę od policzka i rzuciła znużone spojrzenie w stronę ekranu. Tego dnia odbyła już trzy takie same rozmowy. Każda z nich zakończyła się w niezbyt optymistyczny dla Violet sposób.

– Nic?

Zbyła pytanie przyjaciółki kolejnym grymasem.

– Hej, masz jeszcze sporo czasu, żeby coś znaleźć. Dopiero miesiąc temu skończyłaś studia, V.

– I od tamtej pory moją kandydaturę odrzuciło dokładnie trzynaście kancelarii. – Wydeła wargi i z trzaskiem zamknęła leżącą na blacie teczkę. – Ta jest czternastą – jęknęła, osuwając się na krzesło.

Esme pochyliła się nad wyspą, wspierając na niej dłoń. W obcisłej koszulce i legginsach jej nienaganna figura wydawała się jeszcze szczuplejsza. Violet wiedziała, że przyjaciółka od blisko tygodnia stosowała nową dietę, by dostać się do wymarzonej agencji modelek.

Obie miały przed sobą potwornie trudne czasy, jeżeli chodziło o karierę zawodową.

– Nie możesz się teraz poddawać. To Nowy Jork, a nie małe miasteczko w Pensylwanii. Na każdej ulicy znajdują się przynajmniej dwie kancelarie, więc prędzej czy później znajdziesz coś dla siebie.

Violet uśmiechnęła się smętnie, nie chcąc pokazać Esme, że jej próby pocieszenia spełzły na niczym.

– Miałaś świetne oceny na roku...

– Może to miałoby znaczenie, gdybym ukończyła Harvard, a nie jedną z najtańszych uczelni w stanie – odparła, wiedząc, że właśnie tutaj tkwił problem.

W prawniczym świecie, do którego zdecydowała się wkroczyć, dyplom z logo Harvardu znaczył dokładnie tyle, ile potrzeba było, by bez trudu znaleźć pracę. Większość kancelarii otwarcie przyznawała, że zatrudniała jedynie kandydatów po

ukończeniu tej uczelni. Reszta, w tym Violet, odpadała na starcie, nie mogąc liczyć na nic więcej niż pełne udawanego żalu: „Bardzo nam przykro”.

Coraz częściej łapała się na chwilach takich jak ta – gdy wydawało jej się, że to wszystko nie miało sensu. Przyjeżdżając do Nowego Jorku przed pięcioma laty, chciała tak wiele osiągnąć i udowodnić tym, którzy w nią nie wierzyli, że była warta więcej, niż podejrzewali. Zderzenie z rzeczywistością okazało się jednak wyjątkowo bolesne. Oszczędności, które przywiozła z Los Angeles, wystarczyły zaledwie na pokrycie połowy należności za pierwszy rok studiów na najtańszej uczelni, jaką znalazła. Połączenie pracy oraz zajęć kosztowało ją setki nieprzespanych nocy i co najmniej cztery załamania nerwowe w ciągu tygodnia.

Nie była jednak kimś, kto poddawał się, kiedy na horyzoncie pojawiła się pierwsza większa przeszkoda. Przez dużą część życia słyszała, że droga, którą wybrała, nie była dla niej, ponieważ sobie nie poradzi i boleśnie się przekona, że w prawniczym świecie nie ma miejsca dla kobiet.

Brak wiary innych był największą motywacją, która pozwoliła jej przetrwać wszystkie te lata, a teraz trzymała w dłoniach dyplom i nie mogła znaleźć nikogo, kto doceniłby wysiłek, jaki włożyła w jego zdobycie.

– Czy pizza z serem poprawi ci humor? – Esmę chwyciła telefon. Uśmiech, który pojawił się na jej twarzy, sprawił, że Violet ponownie się skrzywiła.

– Wezmę prysznic – rzuciła, wstając z miejsca.

Blondynka odprowadziła przyjaciółkę wzrokiem, a gdy ta zniknęła w korytarzu, zerknęła na blat i leżącą na nim teczkę. Gdyby tylko istniał jakiś sposób, zrobiłaby wszystko, by pomóc Violet.

Zmarszczyła brwi i już miała wyciągnąć dłoń w kierunku blatu oraz spoczywających na nim dokumentów, jednak z łazienki dobiegł głos:

– Esmé?

– Tak?

Twarz Violet wyłoniła się z korytarza.

– Podwójny ser – powiedziała.

Esmé uśmiechnęła się szeroko.

– Jasne.

Rozdział 1

– Violet Elizabeth McMillan. – Esmé Graham zatrzymała się pośród drzew w Central Parku. Wsparła dłonie na biodrach, odwróciła się, po czym pokręciła głową. – Moja babcia ma lepszą kondycję niż ty, a w przyszłym tygodniu skończy osiemdziesiąt lat.

Violet zgięła się w pół, zacisnęła dłonie na oparciu ławki, a następnie wzięła głęboki wdech, który sprowadził do jej ciała nieprzyjemną falę bólu. Serce biło w piersi nieznośnie szybko, suchość drapała w gardło, a długie do ramion włosy przykleiły się do spoconego czoła.

– Umieram – jęknęła głosem tak słabym, jakby miała osunąć się na ziemię. Zmęczenie, jakie czuła, kazało jej sądzić, że taki scenariusz był bardziej niż prawdopodobny.

– Nie przebiegłaś nawet kilometra. – Esmé uniosła dłonie, aby poprawić jasnego kucyka związanego na czubku głowy. Jej wysoka, skrajnie szczupła sylwetka prezentowała się nienagannie, podczas gdy drobna Violet, na dodatek w zbyt dużej, szarej bluzie, wyglądała niczym dziecko, które postanowiło pobawić się w kałuży.

– Jest szósta rano. – Opadła na ławkę. – A ja biegam w parku, zamiast spać w ciepłym łóżku, więc albo jestem nienormalna, albo wciąż trochę pijana, co nie zmienia faktu, że już nigdy więcej nie dam ci się namówić na żadną z tych rzeczy... – Spojrzała na blondynkę, wciąż lekko dysząc. – Ani na alkohol, ani na bieganie.

– Och, daj spokój. – Esmé poprawiła materiał krótkich, potwornie obcisłych spodenek i niemal tanecznym krokiem podszła do ławki. Zaczęła się rozciągać. – Wczorajsza butelka wina miała pozwolić ci na moment zapomnieć o szukaniu pracy. Wy-

ciągnęłam cię dzisiaj na poranny jogging, bo według jednego z tych dziwnych prawniczych magazynów Oliver Sanclair przychodzi tutaj biegać codziennie o szóstej...

– Moment. – Violet uniosła dłoń, przerywając tym samym wypowiedź dziewczyny. – Obudziłaś mnie o piątej i kazałaś wsiąść na siebie te cholernie niewygodne legginsy, w których nie mogę oddychać, tylko dlatego, że facet niemający pojęcia o twoim istnieniu przychodzi tutaj biegać?

– To nie jest jakiś zwykły facet, V. To Oliver Sanclair. Ten Oliver...

– Wiem, kim on jest. Skończyłam prawo.

Prawda była jednak taka, że nawet ludzie niezbyt obeznani w prawie wiedzieli, kim był Oliver Sanclair – najstynniejszy nowojorski adwokat, absolwent Harvardu, chodząca legenda. Brad Pitt nowojorskiej sceny prawniczej, o którym Violet słyszała na większości zajęć na studiach. Wykładowcy uwielbiali tego człowieka równie mocno, jak matematycy kochają Archimedesa.

– Zrobiłam to w pewnym sensie dla ciebie. – Esme zajęła miejsce obok przyjaciółki. – Pomyślałam, że gdybyśmy przypadkiem na niego wpadły, mogłabyś zapytać, czy nie szuka nowego prawnika do swojej kancelarii.

– Okej, chyba już odpoczęłam. – Zerwała się gwałtownie na równe nogi.

Kancelaria kogoś takiego jak Oliver Sanclair była poza jej zasięgiem. W tej chwili nie chciała znowu przypominać sobie o swojej kiepskiej sytuacji. Nie teraz, nie o szóstej rano, kiedy było jej potwornie zimno i z trudem łapała oddech.

– Możemy ruszać dalej?

– Ale... – Esme wstała, lecz zanim zdołała coś dodać, Violet ruszyła jedną z szerokich ścieżek.

Blondynka wykrzywiła wargi w grymasie, a potem wyminęła mężczyznę w czarnej bluzie i podążyła za przyjaciółką, w duchu mając nadzieję, że ta jej nie zabije, gdy tylko odkryje prawdę.

Przebiegł tuż obok zamkniętej budki z lodami, wymiął starszą panią z małym psem i wysoką dziewczynę w krótkich spodenkach, a potem skierował się w stronę jednego z zachodnich wyjść z Central Parku.

Sportowy zegarek oplatający jego nadgarstek zawibrował.

Oliver zatrzymał się kilka metrów przed zatłoczoną ulicą, nabrał głęboko powietrza i nacisnął przycisk przy słuchawce, którą jak zawsze podczas porannego biegania nosił przy uchu. Zsunął z głowy kaptur czarnej bluzy, a lekka mżawka zaatakowała jego policzki w tej samej chwili, w której rozbrzmiał głos śledczego Larsona:

– Właśnie jadę na posterunek. Zostawiłem na biurku w twoim gabinecie teczkę wszystkich osób, które zgłosiły kandydaturę na stanowisko prawnika w kancelarii. Byłbym niezmiernie szczęśliwy, gdybyś chociaż rzucił na nie okiem.

– Nie potrzebujemy nowego prawnika.

Przeczesał palcami wilgotne kosmyki, które osunęły się na jego czoło i skronie, a potem się rozejrzał. O tak wczesnej godzinie, na dodatek pod koniec mroźnego listopada, park świecił pustkami.

Jerry westchnął.

– Nie poradzisz sobie ze wszystkim sam.

– Nie jestem sam. Jodie...

– Twoja siostra przez pierwszą połowę tygodnia jest nieźrównoważona psychicznie, a przez drugą kompletnie pijana – napomknął. – Kiedy ostatni raz widziałeś ją w pracy? Dziesięć dni temu?

Oliver zacisnął wargi. Po chwili rzucił smętnie:

– Poradzę sobie, Jerry.

Zakończył połączenie, zanim śledczy ponownie zasypał go długą listą powodów, które miały przekonać mężczyznę do zatrudnienia kogoś do pomocy.

Westchnął, naciągnął kaptur na głowę i ruszył biegiem w stronę głównej ulicy.

Dotarcie do jednego z wysokich apartamentowców zajęło mu mniej niż dziesięć minut. Szybki prysznic rozluźnił napięte po wysiłku mięśnie. Oliver zmienił czarny dres na jeden z ulubionych garniturów w hebanowym odcieniu i przed siódmą dotarł do kancelarii. Popchnął czarne drzwi, za którymi znajdował się jego gabinet, pozbył się płaszcz, po czym usiadł za masywnym biurkiem, wcześniej rzucając spojrzenie na wiszący za nim ogromny obraz.

Wcisnął dwa palce za kołnierzyk koszuli, uniósł podbródek, a następnie poluzował cienki krawat. Po chwili otworzył laptopa. Gdy na ekranie pojawiły się godzina i data, Oliver dostrzegł stos białych teczek piętrzący się na krańcu biurka.

Nie miał ochoty zawracać sobie głowy początkującymi prawnikami. Nie potrzebował kogoś, kto będzie chodził za nim krok w krok przez kilka miesięcy i przy każdej okazji zaglądał przez ramię, aby zapisać jakąś cenną uwagę w małym notatniku.

Przesunął teczki w bok, by nieco uporządkować blat. Właśnie wtedy z samej góry sterty zsunęła się jedna z nich. Chwycił ją prawą dłonią, lewą wciąż przytrzymując całkiem spory stos. Mimowolnie zajrzał do jej wnętrza i zmarszczył brwi, gdy na pierwszej stronie w górnym rogu tuż nad logo podrzędnego uniwersytetu prawniczego dostrzegł niewielki rysunek. Przedstawiał małego słonia z wysoko uniesioną trąbą, w której trzymał...

Oliver zmarszczył brwi, a kącik jego ust drgnął ku górze w kpiącym uśmiechu.

– To balon? – Niemal prychnął.

To, co znalazł w teczce jednego z kandydatów ubiegającego się o pracę w jego kancelarii, wydawało się jednocześnie dziecinnie żałosne i nieco zabawne.

Przeniósł wzrok na kolejną stronę.

– Violet Elizabeth McMillan – mruknął pod nosem, a potem skupił spojrzenie na znajdującym się u góry zdjęciu uśmiechniętej dziewczyny.

Skrzywił się nieznacznie. Znał tylko jedną kobietę, która zdołała odnaleźć się w prawniczym świecie. Choć mogło wydawać się inaczej, był to cholernie okrutny i niesprawiedliwy świat.

Oczywiście, jak większość młodych i dobrze wykształconych ludzi, był zwolennikiem równouprawnienia, ale z krytyką i dystansem patrzył na kobiety wybierające prawo jako życiową ścieżkę kariery.

Zamknął teczkę i gdy odłożył ją na sam szczyt stosu, panującą w gabinecie ciszę przerwał dźwięk telefonu.

– Oliver Sanclair – rzucił zamiast powitania. Nie zwykł marnować czasu na zbędne formalności i uprzejmości.

– Przepraszam, że niepokoję pana o tak wczesnej porze, ale chodzi o pana siostrę. Jakiś czas temu dał mi pan swój numer i poprosił, żebym zadzwonił, gdyby sytuacja sprzed tygodnia się powtórzyła.

Oliver poczuł nieprzyjemny ból w skroniach. Pośpiesznie odszukał w pamięci moment, który wydarzył się tydzień wcześniej. Prowadził wówczas sprawę z rodzaju tych prostych i raczej mało interesujących, kiedy z sali sądowej wyrwał go telefon z komisariatu.

– Więc... – Młody funkcjonariusz po drugiej stronie wydawał się nieco zdenerwowany. – Pańska siostra w nocy awanturowała się w jednym z klubów za miastem. Obecnie przebywa w naszym areszcie.

Ponownie wsunął palec za kołnierzyk koszuli. Krawat nagle wydawał się nieznośnie ciasny.

– Zaraz tam będę.

Nie zapalając światła i z pijaną Jodie przyczepioną do ramienia, Oliver przeszedł przez szeroki korytarz swojego apartamentu, kierując się do sypialni. Cierpliwie poczekał, aż siostra pozbędzie się wysokich szpilek, i pomógł jej podejść do łóżka, na które opadła z błogim uśmiechem godnym zmęczonego dziecka, którym już przecież nie była.

Nie znalazł kluczy do jej mieszkania ani w torebce, ani w płaszczu. W innym wypadku nie oddałby jej swojego łóżka, skazując się tym samym na noc na piekielnie niewygodnej kanapie w salonie. Nie sądził, aby zdołała wytrzeźwieć do wieczora.

– Musisz zdjąć płaszcz. – Pochylił się nad ciemnowłosą dziewczyną, która zachichotała, szczerzej otulając się czarną pościelą.

– Tak jest dobrze – wybełkotała.

– Jodie.

– Przestań. – Wyraz jej twarzy w jednej chwili spowaźniał. Teraz wyglądała niczym naburmuszone dziecko, któremu ktoś wyrwał z rąk ulubioną zabawkę. – Brzmisz jak nasz ojciec, kiedy próbujesz odgrywać starszego brata.

Oliver nie zdołał przypomnieć, że przecież w istocie był jej starszym bratem, ani zauważyć, że Jodie była zbyt mała, gdy ostatni raz widziała ojca, aby go zapamiętać. Nie był też pewien, czy obraz tego człowieka jeszcze zachował się w jego pamięci, czy też sam postanowił go z niej wyrzucić.

Gdy dziewczyna w końcu uległa i pozwoliła, by zdjął z niej płaszcz, dostrzegł, że zasnęła, kiedy tylko jej głowa dotknęła poduszki. Przysiadł na brzegu dużego łóżka, przykrył siostrę kołdrą aż pod sam nos, jednocześnie krzywiąc się przez nieprzyjemny zapach mocnego alkoholu i dymu papierosowego.

– Tylko nie zwymiotuj do łóżka – mruknął pod nosem.

– Postaram się – odpowiedziała bełkotliwie, po czym odwróciła się w taki sposób, by nie mógł dostrzec jej twarzy.

Upewniwszy się, że tym razem w pełni zasnęła, opuścił sypialnię. Do kuchni wszedł z telefonem przyciśniętym do policzka.

– Będę pracował dzisiaj w domu – poinformował, zanim Jerry zdążył go powitać. Uznał, że zostawienie tak pijanej Jodie kompletnie samej nie było dobrym pomysłem.

Zatrzymał się przy kuchennej wyspie i otworzył aktówkę, którą chwilę wcześniej zabrał z szafki na korytarzu.

– Coś się stało?

Wykrzywił wargi w grymasie, wdzięczny za to, że przyjaciel nie mógł tego dostrzec.

– Nie, po prostu... – Zamilkł w połowie zdania, gdy jego wzrok spoczął na tym, co wyjął z aktówki. Była to biała teczka. Ta sama, którą przeglądał dwie godziny wcześniej w gabinecie w kancelarii.

Nie pamiętał, by zabrał ją ze sobą, ale zgarniał rzeczy z biurka w takim pośpiechu, że mógł przez przypadek chwycić również i to.

– Oliverze?

Spojrzał na rysunek przedstawiający słonia z balonem w uniesionej trąbie. W jednej chwili poranny ból głowy ponownie dał o sobie znać, a wszystko, co dotychczas starał się trzymać z daleka od siebie, wdarło się do jego umysłu.

Odetchnął głęboko.

– Tak. – W końcu zdobył się na odpowiedź, nie odrywając spojrzenia od uśmiechniętej twarzy Violet McMillan. – Wszystko w porządku.